

Irena Kwinto

**Zaklęty w kamień
(Legenda o zamku w Lidzbarku)**

Mołwita stała na moście. U stóp jej płynęła wartko Łyna - rzeka błękitna, nad którą wierzby pochyłe szeptały drobnym liściem stare, prastare baśnie. Piękna twarz Mołwity, jej długie, jasne warkocze odbijały się jak w lustrze w wodzie szemrzającej rzeki. Wieniec chabrowy ozdobił jej włosy. Mołwita patrzyła w wodę złoconą blaskiem zachodzącego słońca, patrzyła i myśli przedziwne nie dawały jej spokoju. Dziś o poranku widziała niezwykły poczet. Przez most, na którym stała, przejeżdżała grupa nieznanymi jej ludzi. Nie mogła zapomnieć tego widoku. Na czele jechał rycerz w pancerz srebrny zakuty. Twarz jego jakby płonęła w porannym słońcu - to ruda broda lśniła w słońcu jak pochodnia. Z ramion spływał mu długi, biały płaszcz z czarnym krzyżem. Konia prowadził mu młody chłopak tak urodziwy, że Mołwicie zadrżało serce. Za nimi jechało kilku wspaniałe przyodzianych rycerzy w białych płaszczach, żaden jednak nie miał czuba z pawich piór u hełmu jak ów rudobrody. Chłopak prowadzący konia obejrzał się. W spojrzeniu tym Mołwita wyczytała zachwyty. To była chwila, bo właśnie w tym momencie ktoś pociągnął ją z tyłu za ramiona i Mołwita znalazła się nagle za krzakami dzikiej róży. Tętent koni ucichł. Mołwita spostrzegła obok siebie twarz swojego dziadka. Patrzył długo za odjeżdżającymi, oczy jego płonęły niesamowitym ogniem. W jego wzroku była tak wielka nienawiść, że Mołwita przeraziła się.

- Dziadku, co wam - zapytała. - Co mnie pytasz? posłuchaj: przed wiekami ciągnęły się tu, na tej ziemi lasy nieprzebyte, bagna rozległe. Wśród tych bagien na wzgórzu stało grodziszczko staropruskie. warowny to był gród pogańskich Prusów - Dzierzgoniem zwany. Dzierzgoniem go teraz zwą. To oni, to ci z czarnymi krzyżami zrównali go z ziemią! Wszystkich żyjących w pień wycięli. Rodziców moich, braci, załogę całą. Ja jeden ocalałem dzięki temu, że byłem piastunką w lesie. Na miejscu starego grodziszczka wzniesiono potężną twierdzę. Okrutne tam były rządy. A ja tu rosłem, tu pracowałem. Ojciec twój zginął w potyczce. Chowałem cię jedyną z twego rodu, który do wielkiego rodu Warmów należał. - Szanuję was, dziadku, wszyscy. Zasiadacie w Radzie jak równy z największymi. Szanuję dla waszej mądrości i pracy, bogaci też jesteście - wtrąciła dziewczyna. - Słuchaj mnie, wnuczko: mnie już wkrótce nie stanie, a tu czasy idą dziwne i niespokojne. Chwila teraz ciszy przed burzą. Przysięgnij mi na pamięć starych bogów, na potężnego Perkunosa i radosnego Potrimpusa, że nigdy nie poślubisz żadnego z tych strasznych rycerzy ani nikogo z ich potomków.

- Dziadku, to rycerze zakonni, próżne twoje obawy. I nagle przed oczyma stanęła jej piękna postać młodzieńca, prowadzącego konia rudobrodę rycerza. Przez moment widziała jego oczy łagodne i smutne. Ścisnęło jej się serce żalem serdecznym, że on do "nich" należał.

Rudobrody komtur (dowódca krzyżacki) wrócił na swój zamek dzierzgoński wielce rozstrojony. Nie jadł, nie pił, jeńcom najsrozsze kary wymyślał. Co tego było przyczyną, nikt odgadnąć nie mógł. Aż pewnego razu srogi komtur wezwał do siebie młodego pacholka.

- Zygrydzie, jak wiesz, przywiozłem cię tu kilkanaście lat temu. Chociaż słowiańskie jesteś szczenię, ale więcej cię znoszę niż innych. Może dlatego, że natura obdarzyła cię urodą ponad miarę. Posłuchaj, co ci rzeknę: kiedy parę dni temu jechaliśmy tutaj, w rozwidleniu dwu rzek około grodziska spostrzegłem dziewczynę. Na moście stała ta dziewczyna. Czar widać rzuciła na mnie. Nie mogę jej zapomnieć! Widziałeś tę dziewczynę? - Widziałem. - Poznasz ją? - O tak, panie!

- To mi ją tu przywieziesz! Tu! Do Dzierzgonia! Rzekłem! - Panie, co chcecie z nią uczynić? - wyjąkał młody. - Śmiało pytasz! Do lochu byś poszedł za tę śmiałość. Komtur dużymi krokami zaczął przemierzać izbę.

- Porwać jej nie mogę. Na razie jest cisza, a gwałt byłby wielki, bo widać ze znacznego jest rodu. Za

żonę jej nie wezmę, bom brat zakonny, ale ona musi tu być! Tu! Choćbym miał skonać! Ty znasz mowę tych ludzi. Natura dała ci urodę. Pojedziesz tam, dziewczkę zjednasz, rozmiłujesz, a potem do ucieczki z sobą namówisz. Przywieziesz ją tu i do moich nóg rzucisz! Co tak ślipia wybałuszasz? Kto wie, może cię za tę zasługę rycerskie ostrogi nie ominą, ty, słowiańskie szczenię! Jechał Zygfyryd wśród borów szumiących i dzikich ostępów. Co pocznie, nie wiedział. Jechał i rozmyślał. Jako małe dziecię porwano go z rodzinnego domu. Jak przez mgłę pamięta kwitnący sad, młodą, uśmiechniętą kobiecą twarz. Czule woła do niego: "Przemko" . Pamięta wyraz "mama" ... Kim był? Rudobrody komtur nazywał go Zygfyrydem. To imię miało mu na całe życie starczyć za wszystko. Rozmyślał też o pięknej, jasnowłosej dziewczynie. Myślał o niej coraz cieplej, serdeczniej, o niej... i o tej ziemi, na której ją spotkał.

Słońce zachodziło, gdy wjeżdżał na most. Rzeka wiała się u jego stóp błękitną wstęgą. Nagle ujrzał biegnącą dziewczynę. Stała Mołwita. Serce jej na chwilę zamarło ze zdumienia . Obróciła się za siebie. Za nią szedł starzec siwy jak gołąb. Zatrzymał się i długo patrzył na przybysza , a potem odwrócił twarz, objął dziewczynę ramieniem i odszedł z nią wolnym krokiem.

-Mołwito, nie oglądaj się za siebie. To ten, ten z komturowej drużyny. Tak na ciebie patrzył. Mołwito strzeż się. Ale na ostrzeżenie było za późno. W sercu Mołwity zakwitł czarodziejski kwiat - przedziwny kwiat zwany miłością. I młody przybysz w tej dziwnej chwili przeznaczenia pokochał wielką miłością Mołwite, piękną dziewczynę ze starego, pruskiego rodu. Spotkali się, gdy słońce ostatnimi promieniami złożyło wodę Łyny. Szeptali słowa miłości, a chłopak zapomniał po co tu przybył. Ale stary Dawota czuwał. Widział miłość w oczach wnuczki. I powziął postanowienie - Nie dostanie jej ten przybłęda, sługa jego wrogów. Dawota nie zapomni straszliwych chwil w oblężonym grodzisku, śmierci rodziców, braci, całej drużyny. Stało się tak, że dnia pewnego próżno młody Przemko czekał na swoją ukochaną. Zniknęła. Z nią też zniknął stary Dawota. Na próżno zrozpaczony chłopiec szukał jej po okolicy, na próżno szukał po lasach, moczarach. Ślad po jego ukochanej zaginął.

Odtąd siadywał samotny nad brzegiem Łyny, tam gdzie spotykał się z Mołwitą. Łzy duże płynęły mu po twarzy. Aż raz w szalonej rozpaczyci rzucił się na ziemię; zaklinał ziemię i niebo, aby mu zwróciła jego ukochaną.

- Gdybym choć kamieniem mógł zostać tu, na tym miejscu, gdzie jej stopa dotykała ziemi! Tu gdzie wyrosła i gdzie rozkwitła jak piękny kwiat. O, wszystkie dobre bogi Warmii, błagam was, zmieńcie mnie w kamień, abym tu mógł pozostać! Kiedy tak leżał na ziemi twarzą w pyle i kurzu, ktoś dotknął jego ramienia. Zniknął w tej chwili Przemko nazwany przez rudobrodego kumtura Zygfyrydem. Na jego miejscu leżał ogromny kamień. Dziwili się ludzie, skąd się tam wziął, kręcili głowami, szeptali coś cicho, a potem z czasem zapomnieli o wszystkim. Słońce grzało głąz gorącym oddechem, wiatr chłodził, deszcz zmywał z niego kurz. Kamień tkwił i obrastał mchem przez lata. Minęło wiele lat. O kamieniu przypomniano sobie wtedy, gdy po latach na miejscu starego grodu pruskiego zaczęto budować zamek. Z jednej strony obejmować miała go swą wstęgą Łyna, z drugiej - wesola rzeczka Symsarna. Zwożono budulec: głązy i kamienie na fundamenty. I wtedy ruszono z miejsca potężny głąz znad Łyny. Przyda się, piękny to kamień - mówili budowniczy.

Zbudowano wspaniały zamek. Przechodził później lidzbarski zamek różne koleje losu, oblężenia wojenne i pożary, ale nigdy żaden pożar nie strawił go całkowicie. Stał mocny i potężny, obronny i silny, pełen sławy i majestatu, dumnie patrząc w niebo swymi wieżyczkami.

Jest taka piękna legenda, że zamek w Lidzbarku nie ulegnie zniszczeniu, gdyż broni go gorące serce Przemka zaklęte w kamieniu. Szczęśliwie, że może służyć tej ziemi, którą pokochało.